

Henryk Józef de Friedberg

1914-2005

Absolwent Wydziału Nawigacyjnego z 1937 r., uczestnik II wojny światowej na morzu, kapitan żeglugi wielkiej, dziennikarz, założyciel i długoletni prezes Związku Oficerów Polskiej Marynarki Handlowej w USA, przez 25 lat przedstawiciel F&A Distributing Co w New Jersey.



Urodził się 3 stycznia 1914 r. w Jaśle, rodzice Henryk i Zofia. Do Gdyni przyjechał z Warszawy w 1934 r. i zdał egzaminy na Wydział Nawigacyjny Państwowej Szkoły Morskiej. W 1935 r., jeszcze jako uczeń, został członkiem załogi w pionierskim (i jedynym) rejsie żaglowca Ligi Morskiej i Kolonialnej „Elemka” do Aleksandrii i Hajfy – gdy na mocy umowy z PSM zaokrętowano na ten szkuner 14 uczniów wraz z wychowawcą.



„Elemka”

„Poszliśmy na «Elemkę», gdyż z powodu podróży naokoło świata «Dar Pomorza» nie mógł zdążyć na rozpoczęcie letniego pływania». [...] Co za wspomnienia. Co za nieprawdopodobny i niezapomniany rejs! 72 dni w morzu, 72 dni na pompach tonącego niemal statku! Olbrzymia drewniana balia, prawie dwa razy większa od «Daru Pomorza», bez komór i ścian poprzecznych, załadowana garnkami, nocnikami i prętami metalowymi, zaś w międzypokładzie worki z cementem. Pięć olbrzymich, stalowych masztów, których wanty były zamocowane na zewnątrz. Dwa motory, zdaje mi się «Skandia», no i dwie śruby. Zaraz po wyjściu

na Morze Północne jeden z motorów «zastopował», międzypokład się zawalił i cement zmieszany z garnkami i metalowymi prętami na dnie statku stworzył olbrzymią żelazobetonową masę, która powodowała czterosekundowe przechyły z burty na burtę. Przy tych przechyłach wanty nie były w stanie utrzymać masztów i zaczęło się rozluźnianie belek burtowych, co z kolei dało silny przeciek wody do ładowni. Poszedł Stefan Jodłowski (Szkatuła) do ładowni, aby zbadać ilość wody. Natychmiast musiał płynąć, gdyż było za głęboko! Zaczęliśmy pompować ręcznie, gdyż wszystkie mechanizmy łącznie ze światłem były pod wodą. I tak płynęliśmy 72 dni do Egiptu! W Zatoce Biskajskiej przywitał nas jeden z największych sztormów stulecia!

Żagle dawno się porwały i aby zdjąć je, wymagało to nieprawdopodobnego wysiłku. [...]

Przez Morze Śródziemne płynęliśmy spokojnie, ale byliśmy coraz bardziej głodni. Nawet woda była zanieczyszczona jakimś wyciekami z naszych motorów. Do picia dostawaliśmy mały kubek dziennie. Brak jedzenia i wody zmusiły nas do wejścia na redę Tangieru. Tu odbyła się komedia, której bohaterem był II oficer Dybek [abs. WN z 1930]. Ponieważ zdążyliśmy po wodę i prowiant, przywieziono na motorówce kosz pomarańczy i beczkę wody..., ale zarazem tej motorówce towarzyszyły inne, pełne Arabów, którzy dawną metodą piracką zaczęli rzucać na statek kotwiczki z przywiązaną do nich liną i po tej linie zaczęli wspinać się na pokład. Ale piraci nie wiedzieli, że dostali się na statek pod biało-czerwoną banderą! Dybek wrzasnął: «za handszpaki i po głowach!». Opuściliśmy Tangier głodni, ale dumni. W dalszej drodze zabiliśmy świnię, która tak się upasała w klatce na pokładzie, że klatka okazała się za mała. [...] wreszcie dowlekliśmy się do Aleksandrii.

Tak to był nieprawdopodobny rejs i nieprawdopodobna praktyka morska. Nic dziw-

nego, że «nas czternastu z Elemki» zawiązało specjalne braterstwo. A przeżycia drugiego kursu nawigacyjnego zostaną na zawsze w pamięci młodszych pokoleń Państwowej Szkoły Morskiej. [...] Kapitanem był Szczygielski, Pierwszym Winkler, Drugim Dybek, Trzecim Łotkowski, Czwartym Leszczyński (Pigiel). Bosmanem był Marian Czarowicz [abs. WN z 1937], praktykantem Józio Babkiewicz, dzisiejszy prezes Związku w USA.

A oto 14 chłopców z „Elemki”: Leon Arens, Witold Czechowicz, Zbigniew Chełmiński, Henryk de Friedberg, Kazimierz Eubig, Stanisław Gwiazdźński, Zygmunt Lewicki, Henryk Krupka, Aleksander Marczak, Kosiński, Stefan Jodłowski, Bohdan Wesołowski, Żebrowski, Ryszard Jedyński¹.

Rejs tak się przedłużał, że po trzech miesiącach szkoła zażądała zwrotu uczniów i wysłano ich do kraju².

„Przewidywano, że podróż będzie trwała 40 dni i odpowiednio zaopatrzone statek w prowiant i wodę słodką. 40 dni dobiegało końca, a do Aleksandrii było jeszcze daleko. Kapitan, dla pewnych względów (chyba oszczędnościowych), nie chciał zejść do jakiegoś portu po drodze, aby zaopatrzyć się w świeży prowiant i wodę, lecz zmniejszył rację. Upodobnialiśmy się coraz bardziej do «Bounty».

Był głód, nie myśleliśmy się i nie golili od tygodnia. Ubrania nasze były w strzępach. Było ciepło, więc brak ubrań nie dokuczał nam. Chodziliśmy w podartych spodniach do pasa nago. Aby choć w części zrealizować marzenia, nosiliśmy na głowach czerwone chustki, które drażniły bezsilnie naszych przełożonych. Jeden Henio Friedberg wyróżniał się wśród nas, bo zdobył gdzieś różową kamizelkę i z dumą w niej paradował. Wyglądał jak prawdziwy pirat i zazdrościliśmy mu okropnie³ – wspominał Ryszard Jedyński [ab. WN z 1939].

„«Elemka» pod egidą Ligi Morskiej i Kolonialnej nigdy nie była cicha. Charaktery oficerów, załogi, uczniów były jak z powieści: Szczygielski – kapitan, a w duszy poeta, Dybek – dubas, czekający z harpunem na okazję wbicia go w rekina, Pigiel – malarz marynista, Henia de Friedberga pamiętam jako pirata, z czerwoną chustką na głowie i ogromną finką za pasem. Trzeba by Conrada, żeby każdego z nich opisać. A ktoś mówi,

że «Elemka» była statkiem pechowym. Gdybyż tę podróż jeszcze raz można było przeżyć!⁴ – napisał po latach praktykant Józef Babkiewicz (abs. WN z 1939), przytaczając przy okazji anegdotę: „Podśledzałem rozmowę dwóch «elemkowiczów», kapitanów żeglugi wielkiej Henia de Friedberga z Heniem Krupką: I Henio (de F.): – Jaka to szkoda, że jest nas «elemkowiczów» coraz mniej, niestety umierają, II Henio (Krupka): – Prawda, Heniu, I Heniu: – Potem zostaniemy tylko ty i ja, II Henio: – Niestety, Heniu, I Henio: – A potem tylko ja. II Henio: – Puknę cię, wszarzu⁵.

Po ukończeniu w 1937 r. PSM Henryk de Friedberg odbył obowiązkowe przeszkolenie wojskowe. W marcu 1939 r. Komisja Kwalifikacyjna Urzędu Morskiego w Gdyni przyznała mu dyplom porucznika żeglugi małej⁶.

W 1939 r. został IV oficerem na „Batorym” i pływał na nim do czerwca 1941 r. pod dowództwem kpt. Zygmunta Deyczakowskiego (abs. WN z 1929 r.).

W marcu 1941 r. otrzymał dyplom porucznika żeglugi wielkiej. W październiku 1942 r. został II oficerem na „Paderewskim” (z kapitanem Jerzym Mieszkowskim, abs. WN z 1927).



Statek, do załogi którego dodano czterech angielskich artylerzystów, ale nie wyposażono w broń do zwalczania celów powietrznych, pływał w relacji Ameryka Południowa – Stany Zjednoczone. 9 czerwca 1942 r. „Paderewski” uratował 37-osobową załogę norweskiego statku „Pleasantville”, storpedowanego poprzedniego dnia przez U-Boot na Morzu Karaibskim.

„W drodze do Trynidadu z pilnym ładunkiem, dobę przed dotarciem do celu, 30 grudnia 1942 r. statek został zatopiony torpedą z U-boota. Było w pół do czwartej nad ranem, kiedy starszy marynarz zauważył przed dziobem srebrny ślad w fosforyzującej w blasku pełni księżyca wodzie. Co to, kaszalot czy delfin? – zwrócił się do II oficera Henryka de Friedberga. – Panie, to przecież torpe... – odpowiedź zagłuszył potworny huk⁷. Zginęło trzech członków załogi maszynowej – zabitych podczas wybuchu torpedy, ale dzięki energicznej akcji ratunkowej – nikt więcej, mimo że okręt podwodny wynurzył się i ostrzeliwał statek, dobijając pociskami zapalającymi. „Ponaglany przez II oficera, kapitan schodził do szalupy ostatni⁸.”

W czasie kolejnych wojennych lat pływał jeszcze na „Śląsku”, „Bałtyku” i „Stalowej Woli” – na tym ostatnim jako pierwszy oficer, z dyplomem kapitana żeglugi wielkiej otrzymanym 7 lipca 1943 r.

Po wojnie osiadł w USA, pracował jako dziennikarz „Polish Daily Morning News” w Nowym Jorku. W 1947 r. został reporterem i przedstawicielem największego dziennika polskiego „Nowy Świat⁹.”

W 1952 r. chwalił się swym szczęściem w londyńskim „Okólniku”: „Od razu nie odpisałem, bo byłem mało przytomny z racji głupiego, ot zwykłego wydarzenia, które dla mnie miało znaczenie ogromne, przytłaczające swą niezwykłością... po prostu żona poвила córeczkę, a mnie się głupiemu zdawało i ciągle zdaje, że to tylko ja, że nikt inny nie przeżywał¹⁰.”

W 1953 r. razem z kolegami założył oddział Związku Oficerów Polskiej Marynarki Handlowej i wiele lat był przewodniczącym tego zawodowego stowarzyszenia, organizując oraz inicjując wiele przedsięwzięć integrujących środowisko ludzi morza oraz kolegów z morskiej szkoły.

Tak opisał ten dzień: „Ze stołem nie miałem za wiele kłopotu. Ustawiłem blisko ściany, dookoła trzy krzesła. Rozłożyłem cały materiał. List od Zarządu w Londynie z «błogosławieństwem», list od dyr. L. Możdżeńskiego, telegramy, statut i uprzednio opracowany porządek obrad. Później zacząłem ustawiać krzesła przed stołem. Początkowo jeden rząd, następnie dwa, razem 10 krzesel. Usiadłem za stołem i rozmyślając, czekałem. Była dopiero pierwsza po południu – jeszcze całe dwie godziny do rozpoczęcia zebrania. Po co tak wcześniej przyjechałem? Jakoś nie mogłem w domu wytrzymać. Przecież mamy wreszcie założyć oddział naszego Związku w Ameryce. Od dawna nosiłem się z tą myślą. Czy przyjdą? Czy odpowiedzą na nasz apel? Rozesłaliśmy z Henrykiem Gottschalkiem listy «gorące», ogłosiłem kilka razy w prasie i przez radio. Listy pięknie wydrukowała pani Gottschalk, a moja żona sporządziła napis, który wywiesiłem na zewnątrz drzwi. Nie pozostało mi nic innego jak czekać. Czy tylko przyjdą? Prosiłem wczoraj Heńka Krupkę, ażeby przyszedł z aparatem. Sławnym fotografem został u nas mój «kum» i w poważnych magazynach amerykańskich spotyka się zdjęcia z podpisem «by Henryk Krupka». Dobry fotograf, ale cynik jak zawsze. Wczoraj zapytuje: «Kto jeszcze przyjdzie?» Odpowiedziałem niepewnie, że dzwonił Stasiek Badziejowski, będzie na pewno. «Ho, to będzie nas trzech, czy warto brać kamerę?»... Wstałem i zlikwidowałem drugi rząd krzesel, składając je z powrotem pod ścianą. Zostało pięć.... czy nie za dużo?

Dla zabicia czasu zacząłem studiować statut. Już 2.30, a ja ciągle sam. Wreszcie zaczęli wchodzić. Pierwszy, drugi, trzeci... nieznałem mi twarze, ale już bliskie i jakże wspólne wspomnienia. Każdego biorę do stolika i zapisuję nazwisko, adres, dyplom, ostatni stopień służbowy. Zajęty tą czynnością ustawicznie zezuję ku drzwiom, które teraz już ciągle się otwierają. Wchodzą pojedynczo, grupami. Znane, od lat niewidziane twarze, wesole, roześmiane. Witają się, przygadują, wydziwiają nad zewnętrznymi zmianami, jakie lata i okres niewidzenia się wprowadziły w obliczach i figurach dawnych przyjaciół, kolegów z jednej ławy szkolnej, z jednego statku czy firmy okrętowej. Starsi witają młodszych, dawni podkomendni swych byłych przełożo-



Fot. ze zbiorów Andrzeja Niemczyka

Pierwsze Walne Zebranie w roku 1954 (po założeniu Związku w roku 1953)



nych. «Jak się masz, stary», «aleś się zesta-
rzał, byku», «jak się masz, pijanico», «witam,
pana kapitana, kupa lat» itd., itd.

Coraz mi trudniej zapisywać w tym roz-
gardiaszu, coraz więcej nazwisk.

Mój pesymistyczny pierwszy rząd krzesel
został zastąpiony całymi szeregami. Płasz-
czy nie ma już gdzie składać. Drzwi ciągle
się otwierają, coraz nowe przywitania, co-
raz nowe krzesła z trzaskiem rozkłada się
w małym pokoju. Wreszcie zapisuję na liście
obecności nazwisko nr 39! W dodatku kil-

kanaście nazwisk mamy «murowanych» na
następne zebrania. Dzisiaj przyjść nie mogli
z powodów od nich niezależnych.

Wreszcie pokój jest tak zapełniony i zady-
miony, że trudno wyobrazić sobie kilkugo-
dzinne zebranie w tych warunkach. Na szczę-
ście gościnny gospodarz Domu Żołnierza
ofiarowuje nam górną, wielką salę zebrań.

Tam też odbyło się pierwsze zebranie or-
ganizacyjne naszego związku na wolnej ziemi
amerykańskiej, jako podwalina pod przyszłą
pracę dla dobra nas wszystkich i ideałów,

dla których przed laty poszliśmy pod polską banderę dla chleba, a później w bój. Jestem dumny i szczęśliwy, że wraz z kolegą Henrykiem Gottschalkiem przypadł mi zaszczyt być organizatorem oraz przewodniczącym tego historycznego zebrania¹¹.

W roku następnym odbył się wielki bal, o którym tak pisał: „Przyznam się, że z małym strachem jechałem z żoną przez cały New York i pół Long Island do Huttington Station, gdzie miał się odbyć bal sylwestrowy. Bałem się nie tyle podgazowanych automobilistów, którzy mijali mnie z zawrotną, sylwestrową szybkością... bałem się tej zabawy. Czy uda się? Czy przyjdzie dosyć gości?

Czy Bonciun nie straci? Z drugiej strony nie widziałem lokalu kol. Bonciuna! Czy to dziura, czy ładne miejsce? Wreszcie dojechaliśmy do Huttington i po kilkakrotnym dopytywaniu się wchodzimy do lokalu. Z dała dochodziły dźwięki znanych przebojów. Przekroczywszy próg – wpadliśmy w samą Gdynię! W liczny tłum, który kołyszając się w takt «Tanga-Milonga» był taki drogi i znany jak i ta melodia. Gdynia – stare, niezapomniane, kochane czasy! To Marian Czarowicz [abs. WN z 1937] – taki sam, jakim go pamiętam jako bosmana na sławnej «Elemce», tylko bujna czupryna kompletnie siwa. Tam kpt. Słomkowski [abs. WN z 1923] w eleganckim mundurze, tam kpt. Ciundziewicki [abs. WN z 1923], również w mundurze, tam znów Feluś Bastrzycki [abs. WN z 1930], który cztery paski zmienił na smoking, Marian Szurmiński, z którym kiedyś na Poznaniu pływałem za «majtka». «George» Rodziewicz – stary farmer z «up state», Bolek Dzikowski [abs. WN z 1937] – kontraktor, Heniek Krupka [abs. WN z 1937] – sławny «commercial photographer», «Malaj» Matłowski [abs. WN z 1937] i wielu, wielu innych. Chyba ze 200 osób. A wszystko z żonami, niektórzy nawet z dziećmi. Miało się wrażenie, że to dawny bal morski w auditorium Państwowej Szkoły Morskiej. Te same twarze, te same nazwiska... Jedyne jak pisze poeta: «Nic się nie zmieniło – tylko ku starości trochę pochyliło»¹².

Państwo Henryk i Stanisława de Friedbergowie znani byli Polonii z prowadzenia przez ponad 20 lat słynnych balów dobroczynnych w Spring Lake, na cel Bratniej Pomocy.

W 1985 r. uchwałą Walnego Zebrania Związku Polskich Oficerów Marynarki Han-

dlowej w Londynie nadano mu tytuł Członka Honorowego¹³. Napisał wówczas: „Każdemu sprawia wielką przyjemność uznanie, ocenienie czy też tylko pochwalenie wysiłku i trudu bezinteresownej pracy w imię wzniosłych ideałów. Cenię sobie wyróżnienie i jestem wdzięczny wszystkim Kolegom z Prezesem Ryszardem Umińskim na czele za przyjęcie mnie, i to z honorami, do centrali londyńskiej.

Osobno dziękuję kpt. Janowi Starzyckiemu za opis w «Okólniku». Trudno uwierzyć, że «tylko» 33 lata temu prosiłem go o przeprowadzenie wyborów nowego zarządu na rocznym zebraniu w Nowym Yorku! Jakby powiedział sławny oceanograf kpt. Hryniewiecki: «Ot i odwdzięczyłsja!»

Przesyłam Prezesowi, Zarządowi i wszystkim Kolegom szczere życzenia noworoczne i silny uścisk prawicy¹⁴.

W roku 1989 świętował 75. urodziny. „W dniu Nowego Roku żona zaprosiła mnie na lunch w pobliskiej restauracji – zgodziłem się chętnie, bo i tak byliśmy skonani po Sylwestrze. Powracając do domu, zdziwiłem się ilością samochodów zaparkowanych przed domem, ale żona powiedziała mi, że to sąsiedzi mają «party». Otwieram drzwi i ... oczom nie mogę uwierzyć – tłum ludzi ze szklankami w ręku krzyczy: «Surprise, surprise», «100 lat, 100 lat niech żyje nam». Z głównego punktu salonu, znad kominka, patrzy się na mnie piękny chłopak w mundurze kandydata Państwowej Szkoły Morskiej z roku 1933. Fotografia wielkości 3 na 2 stopy! W drugim miejscu fotografia o tych samych wymiarach przedstawia siedmioletniego chłopczyka – mnie, dzisiejszego dziadka, w białym ubranku z pierwszej komunii św., inna karta przedstawia mnie w mundurze kapitana, ze wszystkimi dystynkcjami, otoczonego główkami i głowami naszych przyjaciół florydzkich.

To dzieło Stefana Kowalskiego, który wraz z panią Kasią Kosianowską przeszedł sam siebie... nic też dziwnego, że w górnej części tego afisza, nad palmami, w obłokach, widnieje twarz komandora Kosianowskiego, który był dyrektorem Państwowej Szkoły Morskiej, gdy mój rocznik otrzymywał ostateczne dyplomy. Panna Kasia jest wnuczką komandora. Na przeciwległej ścianie duży rysunek przedstawiający mnie, jako pirata

na sterze żaglowca. To Kolumb, w krótszym czasie przepłynął Atlantyk, aniżeli myśmy przepłynęli z Gdyni do Egiptu w 1933 roku. Było nas 14-tu, cały II-gi kurs nawigacyjny. Pozostało nas kilku: Józek Babkie, Rysiek Jedyński, Zbyszek Chełmiński (zostawiliśmy go w Kadyksie ze złamaną nogą), Henryk Krupka, no i ja. Jeśli kogoś zapomniałem, to przepraszam, ale w moim wieku wolno zapominać! A propos... zapomniałem podać kolegów z karty Stefana: a więc są to: Stefan Kowalski, Andrzej Wrześniowski, Józef Babkiewicz i Bogdan Kossakowski (syn śp. inż. Kossakowskiego, naszego profesora zamordowanego przez hitlerowców)¹⁵.



Kpt. ż.w. Henryk de Friedberg zmarł 25 stycznia 2005 r., spoczął w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown (Our Lady of Czestochowa Cemetary), Pensylwania.



Źródła: *Kadry morskie Rzeczypospolitej*, tom I, pod red. Jana Kazimierza Sawickiego, Gdynia 2000; Jerzy Miciński, Bohdan Huras, Marek Twardowski, *Księga statków polskich 1918-1945*, tom 3, Gdańsk 1999; Wadim Konstanty Taniewski-Elliott, *Spis personelu zatrudnionego na statkach Polskiej Marynarki Handlowej w latach 1939-1945*, Gdańsk 1981; biogram opracowany przez Ewę Otrembę w zbiorach Sali Tradycji UMG, Jacek Sieński, *„Elemka”. Kolonialny żaglowiec*, Gdańsk 2020, londyńskie „Okólniki”, akta osobowe GAL-u w APGoG; dokumentacja w zbiorach Sali Tradycji UMG.

1 Henryk de Friedberg, *Między nami*, „Okólnik” 1995, nr 170, s. 33-34.

2 Za: Jacek Sieński, *„Elemka”. Kolonialny żaglowiec*, Gdańsk 2020.

3 „Okólnik” 1973, nr 126, s. 11.

4 Józef Babkiewicz, *„Elemka” – kilka wspomnień*, „Dziennik Bałtycki” 22-23.10.1988, s. 3.

5 Ibidem.

6 *Awanse w Polskiej Marynarce Handlowej*, „Dziennik Bydgoski” 5.03.1939.

7 Jerzy Miciński, Bohdan Huras, Marek Twardowski, *Księga statków polskich 1918-1945*, tom 3, Gdańsk 1999, s. 310.

8 Ibidem, s. 103, 104.

9 „Okólnik” 1951, nr 57, s. 5.

10 „Okólnik” 1952, nr 60, s. 5.

11 „Okólnik” 1953, nr 63, s. 3.

12 „Okólnik” 1954, nr 69, s. 15.

13 „Okólnik” 1985, nr 152.

14 „Okólnik” 1986, nr 153, s. 20.

15 Henryk de Friedberg, *Siedemdziesięciopięciolecie!*, w zbiorach Sali Tradycji UMG – D/ 3791, s. 1-3.